

SŁUŻĄCE

DO WSZYSTKIEGO



JOANNA KUCIEL-FRYDRYSZAK

MARGINESY

SŁUŻĄCE

DO WSZYSTKIEGO

JOANNA KUCIEL-FRYDRYSZAK

MARGINESY

PAMIĘCI
ZAPOMNIANYCH KOBIET

Copyright © by Joanna Frydryszak
Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2018



Służące Wyższej Szkoły Żeńskiej Panien Danysz.

Od drzwi kuchennych do frontowych,
Tam i z powrotem wiodły drogi
Mieszczańskiej naszej socjologii
I tak się węch klasowy budził –
Zdecydowany podział ludzi:
Od frontu „pan” przychodził, „pani”,
Od kuchni – „człowiek” lub „kobieta”,
Tutaj – „znajomi”, tam – „nieznani”.
Tu – my, tam – oni, jacyś, skądśiś,
Którym zakazał ktoś przez front iść.

JULIAN TUWIM, *KWIATY POLSKIE*

DO WSZYSTKIEGO Z DOBRYM GOTOWANIEM POSZUKUJE SIĘ

Poszukuję służącej do wszystkiego, z dobrym gotowaniem i praniem na wieś. Zgłaszać się tylko ze świadectwami i rekomendacjami na Wespólną 18 m. 27, w dniach 15 i 16. od godz. 2—4 po poł. 3424

Potrzebna służąca do wszystkiego: czysta, uczciwa, umiętlna, do małej rodziny. Bagatela 12 mieszk. 18. 1421

144700

Służąca poszukuje pracy do wszystkiego, mogę być do pomocy pani lub samodzielna. Mam długoletnie świadectwa i bardzo dobre rekomendacje. Co do wychodni to mnie na tem nie zależy, bo nie mam nikogo znajomego, ani rodziny w Warszawie, tylko do domów, chrześcijańskich, mogę pójść. Piękna № 47—23. 55943

Służąca poszukuje pracy w domu chrześcijańskim do wszystkiego; czysta, dobre gotowanie, świadectwa i rekomendacje. Telefon 8.99-68 139764

Ze względu na bezpośredniość współżycia służącej z domownikami mamy prawo wymagać, aby służąca nie miała żadnych wad organicznych, jak np. niemiłego odoru ciała, plam i wyrzutów, zeza, głuchoty, krótkiego wzroku, lub nie była obciążona dziedzicznie udzielającymi się dolegliwościami.

MARIA ANKIEWICZOWA, SŁUŻBA DOMOWA

Mieszkająca w Ameryce Alice Coleman Schelling, pochodząca z łódzkiej kupieckiej rodziny Hechtkopów, zapamiętała opowieść o tym, jak jej babcia Regina zatrudniała w Łodzi służącą.

- Czy masz kawalera?
- Ta, proszę pani.
- To bardzo dobrze. Cieszę się. Jak ma na imię? Służąca w zakłopotaniu, wierząc się, podaje imię.
- To ładne imię. Możesz mieć wychodne ze swym chłopcem w niedzielę.
- Dziękuję pani.
- A ty jak masz na imię?
- Zosia, proszę pani.
- To też ładne imię. Ale jeśli zawołam na ciebie Basiu, Kasiu czy Jasiu, chcę, byś wiedziała, że to chodzi o ciebie, i przysła, kiedy proszę.



Poznańskie służące
wśród kadry i uczennic
Wyższej Szkoły Żeńskiej
Panien Danysz, która
działała w Poznaniu
w latach 1871–1909.

Kiedy po latach Alice Coleman Schelling opisuje tę scenę, komentuje ją w ten sposób: „Kłopotliwa opowieść. Niemilo się ją teraz wspomina. Ale moja babcia była dobrą kobietą. Zagadkowa historia”.

Prawdę mówiąc, nie jest bardzo zagadkowa: wiele dziewcząt – także w innych krajach europejskich – „traciło” swoje imię wraz z rozpoczęciem służby w nowym domu. Powody przedstawiano różne: bo mecenasowa na górze ma już Marysię, więc będziesz Zosią; bo córka ma na imię Anna, dlatego nazywać cię będziemy Rózia. A najczęściej nie podawano żadnych. Francuska historyczka Anne Marie Fugier, opisująca losy francuskich służących w XIX wieku, przypomina formułę, którą dziewczyny słyszały na początku swojej służby: „Moja droga, będziesz się nazywać Marie”. Służąca nie ma swojego imienia i nazwiska, nie ma też głosu. Jest niema, jak naiwna bretońska służąca Bécassine z francuskiego komiksu z 1905 roku, która stała się bohaterką popkultury, a namalowana została bez ust.

W polskiej prasie służące występują często pod hasłem: „Marysie, Kasie”. To wyraz na wpół familiarnego, na wpół protekcyjnego, czasem życzliwego, a nawet czułego, ale zawsze zabarwionego wyższością stosunku. Z kolei służące wdowy lub mężatki, które spotyka się sporadycznie, nazywane są od imienia męża: Stasiowa, Jędrzejowa. Albo Bazyłowa, jak wołano na służącą w rodzinnym domu varsavianisty Stanisława Gieysztora.

Pocziwa, dobra Bazyłowa. Zawsze cicha, prawie nic niemówiąca, mała, drobna, sucha, o ustach zaciśniętych i zapadłych policzkach, zawsze w białym fartuchu i białym czepku z rurkowaną kryzką nad czołem, wyniańczyła nas wszystkich i szczerze się do nas przywiązała. Przyjechała z nami z Brześcia, gdzie pozostawiła swoich, i pozostała u nas przez długie lata do śmierci. Kochała nas prawdziwie, chociaż nigdy tego nie okazywała. A ileż

to razy skrzyzczani przez mamę byliśmy przez nią obdarowywani to pomarszczonym jabłkiem, to zeschniętym ciastkiem, to kawałkiem skruszałej ze starości czekolady. Wyjmowała te łakocie ze swojego drewnianego kuferka i nam wtykała. Pachniały one trochę naftaliną i trochę stęchlizną, dla nas był to jednak zarazem zapach dobrego serca Bazyłowej.

Kiedy zachorowała, rodzina oddała ją do szpitala, ponieważ siedziała u niej „na darmowym chlebie”, a mama i babcia nie chciały trzymać w domu śmiertelnie chorej obcej kobiety.

Pamiętam ją siedzącą w kuchni babcinej na kuferku przed pójściem do szpitala. Patrzyła na nas z wyrzutem. Przyznać się muszę, że ja, jak i cała rodzina nie odpłaciliśmy za jej przywiązanie równie serdeczną wzajemnością. Wyraziło się to choćby w tym, że gdy odprowadziliśmy trumnę na Wołę, bodaj nikt nie odwiedził jej grobu. A ja w pięćdziesiąt kilka lat po jej śmierci nie wiem nawet, jak ona się właściwie nazywała i jakie miała imię.

O wielu jednak wciąż pamiętają następne pokolenia. Ich powiedzonka są powtarzane wraz z informacją: „Jak mówiła nasza Andzia”, ich przepisy na supę cytrynową wciąż krążą po rodzinie, a nieliczne listy pisane „do wielmożnej pani” przechowywane są razem z rodzinnymi skarbami. Służące stanowiły ważną część dzieciństwa ich podopiecznych, a baśnie, które opowiadały przed snem, i ciepłe ręce dawały często więcej bezpieczeństwa niż zaprzątnięci własnymi sprawami rodzice, stworzeni do mniej trywialnych czynności. Nie miały własnych spraw, dom państwa był centrum ich świata, a rodzina, której służyły, stała się ważniejsza od ich własnej. Mimo to, gdy poszukuję w rozmaitych szufla-



Romana Rzepecka z córkami i służącą, około 1907 roku.

dach z rodzinnymi pamiątkami fotografii służących, prawie ich nie znajduję. Wertując stare albumy z początków XX wieku, czasem natrafiam na służącą na ganku przed domem lub na leśnym pikniku, gdy w oddali trzyma na ręku dziecko. W fotograficznym atelier niemal nigdy. Dziwny byłby pomysł zabrania ze sobą służącej do fotografa. Do tego trzeba fantazji Romany Rzepeckiej.

Jest rok 1907. W poznańskim atelier fotograficznym na tle tapety w brzoźki widzimy starszą panią w czerni, z wachlarzem w ręku. Otaczają ją córki: pięć wytwornych dziewcząt oraz służąca. Tej ostatniej nie da się pomylić z pannami Rzepeckimi. One w długich eleganckich sukniach z żabotami i falbaniastymi rękawami, z upiętymi wysoko włosami. Ona lekko przygarbiona, onieśmielona, w ciemnym kabatku i białym fartuchu na prostej sukni z haftowanym kołnierzykiem, w koralach i z gładkimi, za-

czesnymi do tyłu włosami, z przedziałkiem na środku. „Matka i córki tworzą zamknięty krąg. Nieco z boku stoi gospoia. To dość niezwykle, że zaproszono ją do oficjalnej fotografii” – pisze Katarzyna Męczyńska, konserwatorka sztuki, autorka monograficznego tekstu o Helenie Rzepeckiej i jej córkach. Rzeczywiście to niezwykle, ale i te kobiety są nietuzinkowe. Romana Rzepecka, z domu Gex, to z pochodzenia Szwajcarka, nauczycielka francuskiego. Jej córka Helena, założycielka pensji dla dziewcząt, nazywana była najmądrzejszą kobietą w Poznaniu. O służącej nie wiemy niczego, nie znamy jej imienia. Może to Pelasia?

Katarzyna Męczyńska: „Tak nazywano w Poznaniu służące bez względu na ich prawdziwe imię. Stało się to właściwie ich synonimem. Nie da się ustalić, jak miała na imię służąca Rzepeckich, ale można podejrzewać, że skoro zaproszono ją do wspólnej fotografii, była dobrą służącą. Czyli pracowitą, pojętną, zgodną i lojalną”.

Gdy dziewczyna decyduje się na posadę służącej, przyjeżdża do miasta z kuferkiem. Albo tobołkiem – chustką, w której ma cały swój dobytek. Jeśli wybiera się do Krakowa, dobrze wie, dokąd ma pójść: pod pomnik Mickiewicza, gdzie w czwartki zbierają się inne dziewczęta i panie, które potrzebują służby.

„Gromadziły się pod pomnikiem na Rynku – wspominał Władysław Krygowski, społecznik i publicysta – tłumy dziewcząt i kobiet gotowych przyjąć pracę służącej lub dochodzącej obsługaczki. Przypatrywały się im panie domów, krytycznym okiem oceniały ich walory jako pracownic, a zarazem ich ewentualną niebezpieczną atrakcyjność dla pana i panicza. Dziewczęta chodziły lub stały, skromne, zawstydzone, w chustkach lub bez, w co która mogła ubrane, wyczekujące, by podeszła do nich pani «kapeluszo»”.



Widokówka ze Lwowa, służąca podpisana jako Ksenia, 1904.

Targ pod Mickiewiczem działa do lat dwudziestych XX wieku właściwie na dziko, bez pośredników. Ale czy bezpieczniej jest u tych cwanych rajfurów, czyli stręczycieli służby domowej? Pośrednictwo pracy dla służby domowej kwitnie. Kantory stręczeń to bardzo dobry biznes, kręci się od rana do wieczora. Nad małym stolikiem pełnym papierów pochyla się agentka. Przegląda książeczki służbowe służących, ich metryki, świadectwa i rekomendacje. Niedaleko na krzesłach siedzą panie z zamożnej klasy. Przyszły tu po swoją „dziewczynę do wszystkiego”. To służąca, która mieszka z państwem, gotuje, pali w piecu, froteruje podłogi, czyści srebra, robi zakupy, podaje kawę, herbatę, palto, otwiera drzwi, ceruje sfatygowaną garderobę pana, pani oraz panicza. Do wszystkiego.

Dziewczyny siedzą na ławkach pod oknem, wezwane przez agentkę „do łaskawego wyboru”. W chustkach, kierpcach, zawstydzone, bo często mówią tak, że pani zrozumieć ich nie może. Czekają. Może zostaną wybrane przez jakąś dobrą panią?

Krakowski jezuita Jan Badeni, gdy przyglądał się kantorom stręczeń służby domowej pod koniec XIX wieku, skojarzenie miał jedno: z afrykańskimi targami niewolników.

To ta, to tamta pani, to ku tej, to ku innej kandydatce się zwraca, wypytuje głośno a szczegółowo o umiejętności jej i zdolności; zadaje – zawsze publicznie – tak niedyskretne „prosto z mostu” stawiane pytania, że najmniej nawet wrażliwa dziewczyna pąsem się oblewa; ogląda, opatruje, czy ręce silne i zdrowe, czy w nogach nie ma defektu; przepisuje i reguluje przyszły strój, wychody na miasto, zatrudnienie; wreszcie zatyka sobie uszy na postawione nieśmiałym głosem śmieszne, niemożliwe, wygórowane pretensje.

Agentka nie wtrąca się do tych rozmów, bo wie, że to pani jest górą, a dziewczyna bez szans. „Zarumieniona, splekana

dziewczyna musi na służbę się zgodzić. Nie zgodzi się dziś na tę, zgodzi się jutro na inną, może jeszcze w gorszych warunkach; zgodzi się, bo głód to despotyczny pan” – pisze Badeni.

Stręczyciele i rajfurki mają złą sławę. Panie narzekają, że to naciągacze, przysyłają nieudolną służbę, aby wymienić ją jak najczęściej. Dziewczyny zaś mają za złe, że kantory wprowadzają je do „niemoralnych domów i do Żydów”. Warszawa, 1918 rok. Etlā Bomsztyk, żydowska dziewczyna, zostaje bez pracy. Rajfurka jest jej jedyną nadzieją.

W piwnicznej brudnej izbie przy ul. Miłej pełno było dziewcząt. Polki i Żydówki, ze wsi, miasteczek i miast, głodne i niewyspane siedziały tu w zaduchu po kilka miesięcy nieraz, chociaż w jedyne dostępne dla nich zawodzie robotnic domowych nie było niby takiego bezrobocia jak w innych zawodach. Za każdą przesiedzianą noc trzeba było płacić lub dać zastaw. Bywało tak, że panie przychodziły i wybierały sobie pracownice. Podobne to było do kupna konia, np. dziewczyna musiała być tęga, o zdrowym wyglądzie. Następnie odpowiadała na pytania, czy ma narzeczonego, czy lubi chodzić na spacer lub przyjmować gości. Jeśli tak, to jest nieodpowiednia.

Bomsztyk szybko orientuje się, że rajfurka mnoży swoje dochody, oszukując. Gdy już narają dziewczynę, po jakimś czasie ostrzega panią, że dowiedziała się o niej czegoś złego. Przestraszona pani zwalnia służącą, którą rajfurka „sprzedaje” komuś innemu, a dla pani szuka kolejnej.

Pisarz Józef Hen wspomina:

Kiedy odchodziła służąca, nie dawało się ogłoszenia od gazety „pomoc domowa do wszystkiego potrzebna od zaraz”, tylko szło się do rajfurki. (W Warszawie słowo to oznaczało pośredniczkę, a nie, jak w niektórych innych miastach, stręczycielkę). Rajfurka mieszkała w obszernej izbie w suterenie pod czterdziestym dziewiątym. Podłogi były tam niepastowane, szare od starości, w ogóle niewiele pamiętam z tamtej izby, do której zszedłem z mamą po schodkach, tylko właśnie tę szarość, może spowodowaną skąpym światłem przesączającym się przez okienka umieszczone na poziomie chodnika ulicznego. Pamiętam szarą chustkę na głowie rajfurki i szare dziewczyny siedzące z opuszczonymi głowami na żelaznych łóżkach, z węzełkami u nóg, czasem z odrapanymi walizkami.

Potem rajfurka zjawia się w domu razem z kandydatką i matka przepytuje dziewczynę: „Czy umie gotować? Czy czysta? Czy uczciwa? Czy samodzielna? Dlaczego od tamtych państwa odeszła? Czy nie latawica? Żadnych odwiedzin sobie nie życzę”.

Rajfurka nie była gadatliwa. Zapewniała tylko, że kandydatka to chodzące złoto. „Będzie paniusia zadowolona. Niech nie doczekam jutrzejszego dnia... Czy ja nie wiem, kogo pani trza przysłać?” I jeszcze do tamtej: „Będziesz miała taką panią, jakiej w życiu nie miałaś. Błogosławić będziesz ten dzień, w którym weszłaś do tego mieszkania. Łyżka cukru więcej nie ma tu znaczenia”. (Była to prawda. Przed służącą wszystko stało otworem i mamie przez myśl by nie przeszło żałować jej jedzenia albo coś odliczać czy

trzymać pod kluczem). Teraz referencje. Kandydatka otwierała torebkę, wyjmowała płócienne zawiniątko, a z niego pozółkłe, posklejane „rekomendacje”, zawsze takie same: że samodzielna, że uczciwa i tak dalej. Ja się tylko dziwiłem, że skoro one wszystkie są takie nadzwyczajne, to czemu tak często zmieniają miejsce.

Na początku XX wieku w samym Krakowie działało trzydzieści sześć kantorów stręczenia służących. Gazety przestrzegały, że są pozbawione nadzoru, choć w większości miast istniały policyjne wydziały do spraw kontroli kantorów służby domowej i policjanci regularnie wizytowali te miejsca. Problem dotyczył miast mniejszych. „Goniec Częstochowski” w 1907 roku alarmował, że w mieście brakuje biura kontroli, a dwa działające w Częstochowie kantory nie dają rękoi, że służąca będzie się prowadzić moralnie, wypełniać swoje obowiązki i że nie okradnie państwa.

Niepotrzebnie się dziennikarze „Gońca” martwili, służące stanowiły najbardziej kontrolowaną grupę społeczną, zaraz po prostytutkach. Często zresztą wpadały w sidła stręczycieli prostytutek. Jeśli nie znały nikogo w mieście, były naprawdę w kłopotcie.

Dlatego od 1906 roku na krakowskim dworcu dyżurują zytki. Prężnie działające Stowarzyszenie Sług Katolickich pod wezwaniem Świętej Zyty wynajęło pokój, w którym zawsze jedna z dziewcząt oczekuje na przyjazd pociągu z prowincji. Gdy ten nadjeżdża, zytka, w długiej sukni z medalem stowarzyszenia na szyi lub opaską na ramieniu, idzie na peron i przygląda się wysiadającym, a kiedy dostrzeżga dziewczynę o wiejskim wyglądzie, podchodzi do niej z pytaniem: „Czy panienska na służbę? Do obowiązku?”. Jeśli tak, ma propozycję: zytka w domu stowarzyszenia przy Radziwiłłowskiej mają sześcioosobowy pokój, w którym



Medal
Stowarzyszenia Sług Katolickich
pod wezwaniem Świętej Zyty.

dziewczyny mogą się zatrzymać na czas poszukiwania posady. Tam ich złe moce nie sięgną. Dzięki misji kolejowej zytka w 1907 roku w domu stowarzyszenia znalazło schronienie sto dwadzieścia siedem dziewcząt z prowincji.

Do czternastoletniej Józefy Witowskiej spod Kalisza przychodzi sąsiadka Żydówka, trochę handlarka, a trochę stręczycielka służących. „Wiesz, Mania, mam dla ciebie służbę, że buzi dać. Mówię ci, dziecko: cymes nie służba, państwo z Warszawy” – reklamuje się. Józefa, jako służąca nazywana Marysią, nie wierzy już, że mogłaby być zadowolona ze swojej posady.

Ma osiem lat, gdy trafia na pierwszą służbę. Jest 1907 rok. Matka i brutalny ojczym nie zamierzają jej utrzymywać. W rodzinie ubogich Żydów musi między innymi myć naczynia pod studnią na ulicy. Pracodawcy są dla niej dobrzy, ale nie może znieść karaluchów i brudu, w którym mieszkają. Tęskni za matką i któregoś dnia ucieka po prostu ze służby. Matka oddaje ją tym razem do bogatego Niemca, tkacza. Do dziesiątej wieczorem sprząta, zmiata i myje białą podłogę w sześciu pomieszczeniach. Drze

pierze. Marznie okropnie – podłogę myje zimną wodą, rąbie lód i wymiata śnieg, wciąż ma mokre ręce. Któregoś dnia traci czucie w dłoniach i trafia do szpitala.

Tuła się po rozmaitych domach przez siedem lat, zawsze z poczuciem krzywdy. Kiedy więc przychodzi sąsiadka z propozycją nowej posady, jest zupełnie zniechęcona. Ale idzie. Trafia do domu profesora męskiego gimnazjum i jego sympatycznej żony. „Miałam dopiero pierwszy raz w życiu taką dobrą służbę. Polubiłyśmy się z trzyletnią córeczką, Czesią, robiliśmy wspólne wycieczki poza miasto, do lasu, gdzie pan malował z natury” – wspominała z rozrzewnieniem Witowska. Dopiero w tej inteligentnej rodzinie nie głoduje i ze zdumieniem przygląda się miłości gospodarza do zwierząt. Gdy kupuje gołębice na rosół, pan zabrania je zabijać i zakłada hodowlę ptaków. A gdy choruje na anemię i lekarz zaleca, aby nie obciążać jej pracą, nacierać rano zimną wodą i dobrze odżywiać, pani przejmuje część jej obowiązków i zgodnie z zaleceniami codziennie rano naciera Józefę. Wkrótce nadchodzi I wojna światowa i profesor dostaje powołanie do wojska. Rodzina się pakuje i jedzie razem z nim, a Józefa znów zostaje bez pracy.

Matka Stefanii Kaszowskiej hoduje na żywieckiej wsi dwie krowy – z tego żyje cała rodzina. Gdy Stefania kończy sześć lat, zostaje oddana do kuzynki, zajmuje się jej dzieckiem. Po siedmiu latach trafia do innego krewnego, znów jako niania. A potem zostaje służącą Żydówki w Cieszynie i tę służbę wspomina najgorzej. „Była przefrancą Żydówka, tak mnie wykorzystywała” – opowiadała po latach. Chlebobawczyni głodzi ją. Gdy pewnego dnia szwagier gospodyni zauważył porcję jedzenia dla młodziutkiej służącej, jest wstrząśnięty: „Sala, ty jej tak mało dajesz jeść, a ona rośnie” – mówi.

Sąsiadka namawia Stefanię do ucieczki, przekonując, że w Cieszynie zarabia piętnaście złotych miesięcznie, a w Warszawie będzie mogła dostać aż sześćdziesiąt. I daje jej adres swojego kuzyna. W ten sposób Stefania Kaszowska trafia do domu znanego działacza społecznego i bogatego przemysłowca Alfreda Jurzykowskiego przy Senatorskiej 38. Jest zszokowana odmianą losu. To rok 1937. „W domu byli kucharka, chłop, co nosił węgiel, a ja miałam odkurzacz. Chyba mi Pan Bóg wynagrodził za tę pokorę. Jak mi tam dobrze było!” – wspominała.

Szczęście Stefany nie trwa długo. Jurzykowski w 1939 roku jako oficer rezerwy walczy w kampanii wrześniowej, potem przez Rumunię dostaje się do Stanów Zjednoczonych, a później do Brazylii, gdzie otwiera pierwszą fabrykę samochodów, a jego fundacja przez lata będzie wspierać polską kulturę. Stefania znów musi szukać dla siebie zajęcia.

Dla Bronisławy Fijał wyjazd do Warszawy jest skokiem na naprawdę głęboką wodę. Przyjeżdża z Zastawia na Lubelszczyźnie, mając w kieszeni tylko jeden adres: dziewczyny z jej wsi, Julii, której nie zna, ale mówili o niej, że ma szczęście, bo się w mieście zahaczyła. Jest rok 1925.

Nie miałam gdzie spać i chciałam, żeby mnie przemocowała – opowie po latach swojej wnuczce, a ona zarejestruje tę opowieść na taśmie magnetofonowej. – Nie wiedziałam, że jest tylko służącą. Ona nie chciała, bo bała się swojej pani, ale ta słyszała wszystko przez drzwi i nie pozwoliła mi odejść. Kazała prześpać mi się razem z Julią na jednym łóżku. Rano pani napisała mi kartkę, którą mam iść i jak dojechać do Skwarka, człowieka zatrudniającego dziewczyny

do pomocy w domach. Prowadził też budkę z papierosami na rogu Nowego Świata. W budce była żona Skwarka i zaprowadziła mnie do domu. Jego nie było, a jak później przyszedł, to był pijany. Nie miał akurat żadnej pracy, ale wysłał mnie do Urzędu Pracy na ulicy Jasnej. Były tam dwie paniusie. Jedna się spytała, czy kocham dzieci. Powiedziałam, że bardzo, chociaż wcale nie wiedziałam, czy kocham. Przyjęła mnie do pracy.

Bronisława Fijał skorzystała z jednego z biur urzędu, które powstawały po roku 1918, były nadzorowane i dawały większą gwarancję bezpieczeństwa niż biura prywatne. W listopadzie 1927 roku reporter „Expressu Niedzielnego” odwiedza biuro dla służących przy Piotrkowskiej 92 w Łodzi. Kłębi się tłum. Służące za pośrednictwo nie płacą. Panie, za dwa złote, przebierać mogą w dziewczynach przez czternaście dni.

Przeważnie poszukiwane są służące do wszystkiego. Z pokojówkami i kucharkami jest gorzej. Wiem z rozmów, jakie tu prowadzę, że w domach, w których dawniej były trzy służące (kucharka, pokojówka i bona), dziś jest jedna, „do wszystkiego”. Ludzie nie mogą sobie pozwolić na liczną służbę. Pokojówki i kucharki rezygnują więc ze swojego fachu i chętnie godzą się do wszystkiego, byleby tylko znaleźć pracę

– opowiada reporterowi kierowniczka biura i dodaje, że coraz więcej zgłasza się robotnic fabrycznych. Zdradza też, że służące niechętnie godzą się na pranie, jedynie, gdy mieszkanie składa się z dwóch pokoi i kuchni, czyli jest niewielu domowników, więc

i prania niedużo. Przy większej liczbie domowników trzeba wynajmować prачkę.

Do łódzkiego biura w październiku do pracy zgłosiło się sto siedemdziesiąt służących do wszystkiego, osiem kucharek, osiemdziesiąt pokojówek, dwanaście nianiek. Codziennie po służącą zgłasza się dwadzieścia pań. Kiedy pracownica biura rozmawia z reporterem, do pokoju wchodzi kobieta w chustce.

- Czy jest coś dla mnie?
- Może będzie... W Strykowie, u samotnego...
- A ile płaci?
- Pięćdziesiąt złotych. Ale już trzeba robić wszystko...
- Kobieta myśli przez chwilę i w końcu mówi:
- Ja bym tam pojechała.

Jeśli miały za sobą zawodowe doświadczenia i bardzo dobrą opinię, nie musiały się martwić. Helena jako piętnastolatka zaczęła służbę u rodziny Hoesicków i pracowała tam do śmierci swoich pracodawców. A ponieważ gotowała doskonale, między innymi rosół z francuskimi kluskami, zupę rakową i sos kartoflany, została przyjęta na służbę przez następne pokolenie – syna swoich gospodarzy. Nie zawsze było z nią łatwo, bo lubiła się napić i słynny wydawca Ferdynand Hoesick wspominał, że „powróciwszy z miasta zza Żelaznej Bramy, była nietrzeźwą, co oczywiście nie pozostawało bez ujemnego wpływu na obiad, nie mówiąc już o tym, że stawało się powodem irytacji mojej matki”. Za to wspaniale opowiadała bajki, najpierw Ferdynandowi – ojcu, a po latach te same jego synowi. „Toteż nie miałem większej przyjemności, jak wieczorem przed pójściem spać, gdy rodzice byli w teatrze, na koncercie lub gdzie z wizytą, słuchać tych bajek

Heleny. Te jej bajki to poezja mojego dzieciństwa, to pierwsze rozbudzenie mej wyobraźni literackiej” – wspominał po latach Hoesick w *Powieści mojego życia*.

Według ankiety Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej na początku lat dwudziestych zaledwie połowa służących korzystała z pośredników. Te, które nie mają znajomości ani poleceń, a potrafią czytać, zdają się na anonse w prasie. Gazety codzienne publikują ogłoszenia drobne pracodawców i służących, a niektóre mają osobne rubryki „Służba domowa”, w których ukazuje się co najmniej kilka ogłoszeń każdego dnia.

Do wszystkiego potrzebna służąca z dobrem gotowaniem, uczciwa, lat średnich z dobrymi świadectwami, pensja pięćdziesiąt złotych i dochody – Targowa 63/5.

To w „Kurierze Warszawskim” 14 stycznia 1928 roku. Na Flory mają trochę większe wymagania:

Poszukuje się wykwiennie gotującej, wykwalifikowanej służącej do wszystkiego. Flory 5 m. 4.

Jeszcze innej poszukują na Żoliborzu:

Potrzebna młoda, skromnych wymagań. Zgłaszać się w sobotę, Żolibórz, Krasińskiego 20.

W „Kurierze Bydgoskim” szukają:

Służącej z gotowaniem, religijnej i uczciwej, od zaraz. Chłopickiego 12.

A w Łodzi:

Służąca skromnych wymagań potrzebna do chrześcijańskiego domu. Piotrkowska 109 m. 5.

Kandydatka czasem musi dojechać na rozmowę o pracę gdzieś daleko. Potencjalni chlebodawcy myślą i o tym, przynajmniej ci z Ursusa:

Potrzebna służąca, wiek średni, dobre gotowanie i pranie, samodzielna, spokojna, do dwóch osób, 3 pokoje, pensja dobra, do umowy. Zgłaszać się tylko ze świadectwami i rekomendacjami. Skierniewicka 27/29. Ursus. Portier wskaże. Tramwaj opłacamy.

Służąca – jeśli umie pisać – też się reklamuje:

Dziewczyna młoda poszukuje pracy od 15 stycznia lub od zaraz: dobrze gotuje, ładnie pierze, łagodnego usposobienia, lubi dzieci, do domu chrześcijańskiego, tel. 80530.

Dziewczyny dobrze wiedzą, że dla państwa najważniejsze są wiek i rekomendacje. Dlatego ogłoszenia często wyglądają tak:

Służąca w średnim wieku, ładnie pierze, ładnie sprząta. Referencje dobre, poszukuje jakiegokolwiek pracy. Waliców 5/23.

Mają też czasem bardzo konkretne wymagania, na przykład w Bydgoszczy:

Służąca poszukuje posady od zaraz lub od 1 października, tylko do rodziny wojskowej.

Czasem służącą można obejrzyć przy warsztacie.

Służąca poszukuje miejsca od pierwszego do wszystkiego. Wejście od kuchni. Marszałkowska 94 mieszkanie 7.

Autorka wydanego w 1909 roku podręcznika *Dobra służąca*, Elżbieta Bederska, radzi dziewczynom udającym się na rozmowę o pracę ubrać się skromnie, odpowiadać grzecznie i nie zadawać zbyt wielu pytań, aby „pani nie myślała, że jest nygusem albo pracy się boi”.

Dwadzieścia lat później, gdy świat się demokratyzuje, Michalina Ulanicka, inteligentka o ziemiańskim rodowodzie w *Poradniku służby domowej* instruować będzie kandydatki na służące, aby podczas rozmowy z panią zapytały: jak wysokie będzie pobierała wynagrodzenie i kiedy będzie je otrzymywała? czy wolno jej wychodzić w niedzielę? czy wolno ją odwiedzać? ile jest osób w domu? czy są małe dzieci i jakie będzie miała względem nich obowiązki? ile jest pokoi do sprzątnięcia? czy obiad jadają wszyscy domownicy razem, czy też podaje się go kilka razy? czy kolacja bywa gotowana? czy służąca ma robić duże pranie czy też od czasu do czasu przepierkę? czy węgiel sama przynosi, czy też jej przynoszą z piwnicy?

Ulanicka przestrzega dziewczyny, aby za wiele nie oczekiwała: „Z początku trudno tak wykonać pracę, by zapewnić sobie codziennie godzinę lub dwie dla siebie na odpoczynek, szyć, napisanie listu itd. Każda pani pragnęłaby zapewnić swej pomocnicy ten odpoczynek, ale nie znając służącej, nie może się do

tego zobowiązać przy umowie, bo to zależy od tego, jak służąca pracuje”.

Również panie były instruowane, jak przeprowadzić rozmowę z kandydatką na służącą, żeby się nie naciąć. Koło Studiów Gospodarstwa Domowego, stworzone przez środowisko kobiet wywodzących się z ziemiaństwa, chcąc unormować stosunki między służbą a pracodawcami, w 1930 roku opracowało rodzaj umowy ramowej. I zalecało, aby na początku rozmowy panie domu uważnie czytały świadectwa pracy dostarczone przez służące, badając wnikliwie przyczyny ewentualnych przerw w służbie, a następnie, po wyznaczeniu obowiązków służbowych, omówiły:

- zdolności kandydatki w gotowaniu,
 - sprawę pomieszczenia dla służącej: czy pokój oddzielny? czy spać będzie w kuchni? czy jest szafa dla służącej?
 - godziny posiłków,
 - umiejętność prania, informując, czy będzie robiła tylko drobne przepierki, a do dużego prania najmiejmy praczkę, czy też całe pranie robi sama?
 - sprzęty do sprzątnięcia: froterki, odkurzacze, szczotki do mycia okien,
 - w przybliżeniu godziny pracy,
 - wymagania co do ubrania: fartuchy do sprzątnięcia, czepki i fartuchy do gotowania,
 - sprawę wychodzenia służącej w niedzielę lub święta,
 - kwestię codziennych posiłków służącej, zapewniając jej pożywienie obfite, ale proste, w żadnym wypadku nie lepsze niż domowników.
- I oświadczamy, że grymasy w jedzeniu uwzględniane nie będą.



Służących na rynku pracy jest mnóstwo, panie są jednak nie-pocieszone: mało która spełnia ich oczekiwania. Szukają „perły”, która łączyć będzie w sobie upragnione przez nie zalety. Ma to być dziewczyna silna, czysta, lubiąca dzieci, skromna i moralnie prowadząca się. Jedne wolą doświadczoną, „z dobrem gotowaniem”, inne surową, którą można wszystkiego nauczyć i wychować po swojemu. Niektóre zaznaczają w biurze, że szukają poważnej, inne, że wesołej, a część, że ich służąca nie powinna być ładna ani zgrabna. Nie może mieć jednak żadnych skaz – zęza ani brzydko pachnieć. Przecież będzie mieszkać w naszym domu, jeść z naszych talerzy.

W 1935 roku miesięcznik „Pani Domu” relacjonował casting na służące jako gehennę, przez którą pani musi przejść. Najpierw

zawiadamia biura pośrednictwa pracy, że poszukuje służącej od pierwszego lub piętnastego dnia miesiąca, i czeka w domu, aby przesłuchać kandydatki. Jest zdenerwowana. „Nic dziwnego. Bo też nie wiadomo, co sobie człek do domu wprowadzi!” – komentuje czasopismo.

Przychodzą dziewczyny. Rosła, przystojna, ubrana „z dozą swoistej elegancji”. Golone brwi, malowane usta. To zraża panią. „Mało wyrafinowana dziewczyna nie wie, że bezpieczniejsze do zgody przedstawić się «na naturalnie», a dopiero w niedzielę wychodząc, sprawić pani niespodziankę, że nie jest się niczym gorszą od niej”.

„Reflektuję na skromniejszą dziewczynę” – oznajmia pani i przyjmuje następną, która jest przeciwieństwem pierwszej. Starsza, pocziwa, w czarnej kaszmirowej chuście. „Wymierający typ służącej, która przez lata gromadziła przyodziewek w wysokich kufrach, której ukochaniem był kościół, a skrupulatne spełnianie praktyk religijnych zastępowało wszystkie emocje dzisiejszych dziewczyn”. Pani jednak uznaje, że ta starsza kobiecina nie podoła ciężkiej pracy, i postanawia szukać silniejszej.

Oto zjawia się masywna dziewczyna o krwistoczerwonych policzkach i grubych szorstkich dłoniach, których czystość nie pozostawia złudzeń: „Jej ząbkowane paznokcie z nader widoczną żałobą nasuwają pani myśl o zarabianiu nimi ciasta na makaron czy pierogi i zniechęcają z miejsca”. Pani postanawia odprawić dziewczynę, używając fortelu: „A czy panienka potrafi robić budynie, suflety, w ogóle wyrafinowane leguminy?”. „Ej, takie całkiem grymaśne rzeczy nie umiem” – odpowiada, a w duchu dodaje: „Jeszcze mi takie fanaberie pańskie potrzebne”.

Wychodzi, a jej „całuję rączki” brzmi hardziej niż przy wejściu. Kiedy niedługo potem przychodzi subtelna blondynka, sły-

szy: „Panienka za delikatna, potrzebuję z dużym praniem, to byłoby dla panienki zbyt uciążliwe”. Z kolei jędzowata brunetka, gdy wysłuchuje, co miałyby do zrobienia w ciągu dnia, oznajmia twardo: „Tyle by pani chciała i tylko za trzydzieści złotych. Wolę pojechać do domu niż tracić zdrowie za byle jakie pieniądze”.

Następna to „niewyraźna pannica”, która przyznaje, że ma narzeczonego, więc pani od razu jej oświadcza: „U mnie mężczyzn do kuchni wprowadzać nie wolno, ani w bramie wystawać”. I dodaje, że u niej musi być czysto w każdym kącie i codziennie się froteruje.

Mordęga zatrudniania nie ma końca, pani piętrzy roszczenia, dziewczyny nie spełniają oczekiwań. „Po długich, a jakże często niemiłych korowodach, z kantoru, za rekomendacją odchodzącej służącej lub znajomej pani, własnym sprytem lub przemyśłem dostaje się wreszcie Kaśka lub Magda do upragnionego portu, do «obowiązku». Dokąd się dostała, co jej służba przyniesie, jaki wyciągnęła los?” – zastanawia się Badeni.

Ponieważ dobry los czy fart to jest to, czego potrzeba służącym jeszcze bardziej niż innym.

ZACHOWANIE WOBEC PAŃSTWA

Uprzejmość nie pozwala przerywać państwu posiłków ani snu i ubierania interesami. Interessantom odpowiada się wtedy: „Proszę zaczekać, aż pani się ubierze” lub „aż pan zje obiad”. Wyjątek stanowią wypadki, gdzie parę minut może robić różnicę, jak depesza, nagłe zaślabnięcie czyjeś, pożar lub jakie nieszczęście.

Jeżeli są goście u pani, a służąca ma jakiś interes, nie przerywa rozmowy, tylko wchodzi cichutko i staje w pokoju lub w drzwiach, a pani, widząc ją, sama do niej podejdzie lub zapyta, o co idzie.

Robót hałaśliwych, jak łupanie drzewa lub węgla nie wykonujemy ani w nocy (gdy zresztą same spać powinnyśmy), ani rano, gdy domownicy jeszcze nie powstawali.

M I C H A L I N A U L A N I C K A

P O R A D N I K S Ł U Ż B Y D O M O W E J

Wspaniała! Tak wiele mówi o korzeniach naszego społeczeństwa, o wyzysku, uległości kobiet akceptujących swój niewolniczy los, ale i o sile ludzkich uczuć, zdolnych przekroczyć klasowe podziały. Dla mnie szczególnie wzruszająca, bo moja niania, która mogłaby być bohaterką tej książki, była jedną z najważniejszych osób mego dzieciństwa. Autorka wykonała ogromną pracę, dziękuję!

AGNIESZKA HOLLAND

Z reguły nie mają nazwisk, często nawet imion. A przecież to one wyprasowały białe koszule sławnych mężczyzn, których zdjęcia pamiętamy ze szkolnych podręczników. Służące. Nic dziś o nich nie wiemy, a one kiedyś wiedziały wszystko. Kuciel-Frydryszak pozwala nam zajrzeć do miejsca, które historycy dotąd omijali: do „służbówki”. Świetna lektura, otwiera oczy!

WOJCIECH ORLIŃSKI

Polskie „białe niewolnice” pierwszej połowy XX wieku. Wiejskie dziewczęta zaczynające służbę w wieku piętnastu lat. Pozbawione prawa do wypoczynku, na nogach od świtu do nocy. Sprzątały, zmywały, froterowały, prały. Gotowały, cerowały, szyły. Współczuły, przytulały, kochały, ratowały. Ocierały łzy i nosy, bandażowały kolana i składały złamane serca. Bez nich zniknąłby niejeden dom, załamało niejedno życie.

Pierwsza w Polsce książka, która opowiada o losach kobiet pracujących w charakterze służących.

JOANNA KUCIEL-FRYDRYSZAK

– absolwentka polonistyki na Uniwersytecie Wrocławskim, dziennikarka. Autorka biografii *Słonimski. Heretyk na ambonie*, nominowanej w najważniejszych konkursach na Historyczną Książkę Roku – im. K. Moczarskiego i O. Haleckiego, oraz bestsellerowej biografii Kazimierzy Hłakowiczówny *Illa* (Marginesy 2017), nominowanej do Nagrody im. Józefa Łukaszewicza.



cena 44,90 zł

PATRONAT MEDIALNY



tubimyczytać.pl

